

## Aktualność duchowego dziedzictwa bł. Julii

### dominikańskiej męczennicy ze Stutthoffu

Zacznę może nietypowo ... inaczej, bo chcę pokazać działanie Opatrzności Bożej, która tę niezwykłą *celebrantkę dobra* zachowała i pomogła odkryć w wyznaczonym przez siebie czasie. Aktualność jej duchowego dziedzictwa od chwili rozpoczęcia procesu sam Pan Bóg potwierdzał usuwając narastające trudności i błogosławiąc to dzieło aż do potwierdzenia świętości.

Uchylę rąbka mało lub wcale nie znanych wydarzeń ... . *W ciągu 24 godzin musiałam odnaleźć obozowych świadków życia s. Julii. Inni postulatoży, zgodnie z wytycznymi kongregacji, już od kilku tygodni gromadzili wymagane dokumenty i relacje świadków. A ja czekałam na te wytyczne i dziwiłam się, że jeszcze ich nie przysłano. One jednak zostały przekazane przez „grzeczność” i leżały w furcie jednego z klasztorów męskich, czekając na odbiór, tylko o tym fakcie nikt nas nie powiadomił. W ciągu tego decydującego dnia kontaktowałam się telefonicznie z więźniami Stutthoffu w poszukiwaniu tych, którzy za drutami obozu mogli spotkać s. Julię. Niestety, wszystkie rozmowy kończyły się fiaskiem. Był bardzo późny wieczór lutowy, gdy dotarła do mnie wiadomość o kapłanie, który przeżył obóz. To była ostatnia szansa, by s. Julia nie została wykreślona z listy zgłoszonych do procesu. Gdy zmęczonym i nie pewnym głosem powiedziałam o co chodzi, usłyszałam:*

*„Bogu niech będą dzięki! Nareszcie. Znałem s. Julię dominikankę. Była w części żydowskiej, chociaż nie była żydówką. Pochodziła z gór, miała niebieskie oczy i była blondynką... .Tak długo na tę chwilę czekałem, by dać o niej świadectwo... . Prosiłem Boga, by pozwolił mi to uczynić przed śmiercią... . To była święta, która pomogła mi uratować moje kapłaństwo a innym przeżyć... . Była człowiekiem ogromnego formatu wiary, niezwykle mężna... . Ona kochała Jezusa w Eucharystii, dla niej było ważne sakramenty... . Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie i dla innych uczyniła”.*

Co takiego uczyniła Siostra, którą po 50 latach, ze łzami w oczach, wspomina ks. prałat Franciszek Grucza, zwany kaszubskim Kordeckim? *„Była od siostry wyższa, nie nosiła pasiaka, na głowie miała chustkę zawiązaną do tyłu. Wszyscy wiedzieli, że jest siostrą, nie kryła tego”*- tymi słowami powitał mnie następnego dnia rano! Przez lata kapłaństwa przewinęło się tylu ludzi a on nie zapomniał żadnego szczegółu dotyczącego jej wyglądu? Listy, w których napisał świadectwo o jej męczeństwie i wysyłał po wojnie do dominikanek, nigdy do nas nie dotarły. Podobny los spotkał relacje przekazane przez Żydówkę Ewę Hoff dominikanom w Sztokholmie.

Musimy z odwagą zapytać: Siostró Julio, co chcesz nam powiedzieć przez swoje życie i męczeństwo? Czego chcesz nas nauczyć, co podpowiedzieć i co przypomnieć? Święty JAN PAWEŁ II napisał :

*„Prawdziwi męczennicy XX wieku są dziś światłem dla Kościoła i całej ludzkości. /-/  
Pochylający się w modlitwie przed bramami obozów  
koncentracyjnych i więzień, powinni być im wdzięczni za to światło: to było  
światło CHRYSYUSA, które za ich przyczyną stało się widzialne w ciemności”...”.*

Przypomnijmy najważniejsze wydarzenia z jej życia, które nie tylko uczyniły z jej duszy ziemię uprawną, ale i dopomogły stać się **światłem w ciemności**.

Stanisława Rodzińska urodziła się w czwartek 16.03.1899 roku w Nawojowej. W niebezpieczeństwie śmierci została ochrzczona dwa dni później. Kiedy miała osiem lat utraciła matkę Mariannę a dwa lata później ojca Michała. Wtedy to klasztor dominikanek stał się domem rodzinnym dla niej oraz dla jej 4 letniej siostry Janiny.

Przełożona domu s. Stanisława Leniart aż do śmierci pozostanie jej „mamą”. Ta charyzmatyczna dominikanka żyjąca Ewangelią i duchowością Założycielki zaczerpniętą u źródła, stała się wzorem dla młodej wychowanki. Od niej nauczyła się przeżywać życie zakonne, jako duchowe macierzyństwo wobec poranionych brakiem miłości i najbardziej słabych.

Stanisława ukończyła Seminarium Nauczycielskie, dodatkowo uczyła się gry na skrzypcach i na pianinie oraz prowadzenia gospodarstwa domowego, by pracować z kochanymi przez nią dziećmi.

W trakcie trwania I wojny światowej (1916), jako 17 latka wstąpiła do sióstr, wśród których kształtowała się jej osobowość i dojrzewało powołanie. Dwudziestoletnia profeska (1919) z nowym zakonnym imieniem: s. Julia, została skierowana do zakładu dla sierot w Mielźnie, później do szkoły w Rawie Ruskiej, a od 1922 do zakładu sierot w Wilnie. Jej życie zawodowe przez kolejne 21 lat będzie związane z dziećmi, szczególnie tymi osieroconymi.

We wtorek 5 SIERPNIA 1924 roku w Wielowsi złożyła śluby wieczyste, oświadczając, że składa je *„dobrowolnie i świadomie dla doskonałej Służby Bożej i zapewnienia sobie zbawienia”*. W Wilnie otrzymuje patent stałej nauczycielki oraz zdobywa wyższe wykształcenie pedagogiczne. Jednym z jej egzaminatorów był bł. Michał Sopoćko, apostoł Bożego Miłosierdzia.

W szybkim tempie rozwija się jej kariera zawodowa i tak zostaje: dyrektorką szkoły podstawowej, kierowniczką zakładu dla sierot, wykładowcą na studiach, przełożoną sióstr i tercjarek dominikańskich.

Powszechnie doceniano ją za to, że nie trzymała się raz wypracowanej metody, lecz była elastyczna i twórcza. Za nowatorskie inicjatywy m.in. kolonie i półkolonie dla dzieci z rodzin

patologicznych, została zaliczona do najwybitniejszych pedagogów wileńskich. Osiągnęła to, że dzieci ze sierocińca nie odróżniały się ubraniem od swych rówieśników z pełnych rodzin i nie były przez to wyśmiewane.

Za wzorowe prowadzenie *Zakładu dla Sierot* otrzymała nagrodę Wojewody Miasta Wilna, którą przeznaczała wyłącznie na potrzeby dzieci. Powszechnie zaczęto o niej mówić: „matka sierot”. Zawsze pogodna i kochająca potrafiła stworzyć namiastkę domu rodzinnego i zdobyć u nich autorytet, sympatię i zaufanie. Wychowywała w oparciu o Ewangelię, która kształtowała ich wrażliwość i chroniła przed wyrządzeniem krzywdy sobie oraz innym. Wychowankowie zapamiętali, że dla niej zawsze najważniejsze było dobro drugiego człowieka. Z natury jak matka czuła i łagodna, kiedy dobro dziecka tego wymagało, stawała się stanowcza i wymagająca. Kochała je nie sentymentalną, ale dojrzałą i wymagającą miłością. Los sieroty znała z osobistych doświadczeń i dlatego potrafiła pomóc im cierpliwą łagodnością leczyć rany dzieciństwa.

Całe jej życie przenikał duch miłości, który uzewnętrzniał się szczególnie w wiernym zachowywaniu zobowiązań zakonnych. Wymagała dużo od siebie, ale przy tym była wyrozumiała dla innych. Mimo zaangażowana w tak szeroką działalność pedagogiczną pielęgnowała głębokie życie modlitewne. Znalazła zawsze czas, by być blisko Chrystusa Eucharystycznego i Matki Miłosierdzia, jej Matki. Warto wspomnieć, że po zbombardowaniu Wilna na ścianie kaplicy sióstr pozostał jedynie niezniszczony Obraz Matki z Ostrej Bramy, który jest powieszony na pierwszym piętrze w domu generalnym w Krakowie. Z miłości do Jezusa utajonego w Eucharystii zorganizowała kaplicę w publicznej szkole podstawowej, by u Jego stóp dzieci i nauczyciele czerpali duchowe siły na dobre życie.

Siostra była gorliwą w służbie Bożej i jak matka - wrażliwą na duchowe i materialne potrzeby sióstr. We wspomnieniach z okresu wileńskiego podkreśla się jej gościnność i życzliwość. Wśród podwładnych cieszyła się szacunkiem i zaufaniem, dlatego została wybrana dwukrotnie delegatką na kapitułę generalną i pełniła na niej urząd sekretarki. Od dziecka miała kłopoty zdrowotne, które w 1937 roku zakończyły się poważną operacją żołądka.

*Papież Franciszek powiedział: „ Wierność Chrystusowi i Jego Ewangelii, aby głosić Go słowem i życiem oraz świadczenie o miłości Boga swoją miłością i miłosierdziem wobec wszystkich – oto świetliste wzory i nauka, jaką dają nam święci”.* Czyż te słowa nie mówią i o niej?

Nauczycielka s. Julia uczy nas przeżywania na drodze wiary ewangelicznej miłości bliźniego, by odwagą miłości, poprzez przełamywanie stereotypów myślenia leczyć rany ludzkiego serca i świat czynić lepszym. Upomina, aby nie dopuścić do tego, by aktywność

oddaliła nas od Chrystusa, prawdziwej miłości. Przypomina, że to Chrystus ma być na pierwszym miejscu, a wszystko inne dla Niego i z Nim.

Dzisiaj, gdy wiara w Boga jest atakowana, a wymogi Ewangelii na różne sposoby rozmywa się duchem tego świata, Ona uczy przejrzystego potwierdzania jej życiem. Zachęca, by nie bać się trudnych wezwań, przecież sama pracowała wśród ludzi o moralności zagubionej, zdeformowanej lub zniszczonej przez machiny nienawiści pierwszej i drugiej wojny światowej. Dojrzałość duchową s. Julii potwierdza wierność w każdym miejscu wartościom i zasadom moralnym, a jej życie, charyzmat i duchowość budzą na nowo serca i wzywają na drogę wiary.

Po wybuchu II wojny światowej, dopóki mogła (do 1940) pracowała wśród dzieci, jako nauczycielka a później, jako sprzątaczką. Przyjęła taką pracę w szkole, gdzie była wcześniej kierowniczką, bo pragnęła nadal być przy swoich sierotach i o nie się troszczyć. Odczytując znaki czasu zorganizowała akcję żywnościową dla pozbawionych środków do życia księży emerytów.

Po wyrzuceniu z klasztoru, zamieszkała na kapelanii siostr wizytek, obok bł. Michała Sopoćko i włączyła się poprzez tajne nauczanie w podziemne życie religijne i narodowe. W przekazie ustnym pozostało wspomnienie jej udziału w akcji ratowania Żydów.

W poniedziałek 12 lipca 1943 roku została aresztowana przez gestapo i osadzona w więzieniu na Łukiszkach, miejscu masowych kaźni Polaków. Zamknięto ją w betonowej izolatce (nr 31b), w której zimno, niewystarczający dopływ powietrza i konieczność siedzącej pozycji ciała były źródłem nieustannego cierpienia. W tym odosobnieniu dojrzewiała do złożenia ostatecznej ofiary z życia. Była tam bita, poniżana i szykanowana, a jęki torturowanych dniem i nocą docierały do jej izolatki. Próbowano ją wykończyć nie tylko fizycznie, ale psychicznie mówiąc, że ktoś bliski jest teraz na torturach w rękach Gestapo i wystarczy podać kilka nazwisk, aby tej osobie ocalić życie. W celu wymuszenia tych zeznań, śmiertelnych dla innych, pokazywano tzw. katownię z jej ofiarami, a więźniarkom kazano zmywać kilkucentymetrową warstwę krwi. Nocami wywożono więźniów na rozstrzelanie do lasu w Ponarach (ok.100 tys. ofiar), gdzie ginęli wileńscy patrioci, a wśród nich i jej wychowankowie. Z Łukiszek s. Julia przekazała wiadomość o swojej niezachwianej wierze w Opatrzność Bożą i o ogromnym cierpieniu. Nie załamało jej ducha 12 miesięcy katuszy, nikogo też w czasie przesłuchań nie zdradziła, a więźniowie, którzy widzieli ją prowadzoną do izolatki, zapamiętali spokój i skupienie promieniujące z jej twarzy.

Co pragniesz nam powiedzieć „Matko Sierot wileńskich”, a potem więźniarko z izolatki? Mówisz przede wszystkim, że są wartości dla których warto żyć, cierpieć i umrzeć. Są nimi: człowiek, godne życie i jego wieczność. Jak drogowskaz pokazujesz właściwy kierunek i uczysz patrzeć na cierpienie oczyma wiary. Pracą nad sobą inspirujesz do dbania o piękno i dojrzałość

duchową, bo ogień zapala się od Ognia. Wzywasz do tego, by czyniąc dobro i wielbiąc Boga, zwyczajną codzienność przeżywać niezwykajnie. Uczysz iść z wiarą, nadzieją i miłością przez ciemną dolinę, gdzie zło i okrucieństwo zbiera codzienny plon! Pokazujesz, że intensywna modlitwa jest źródłem pokoju i męstwa, a tylko ten się lęka, kto nie wydoskonalił się w miłości. Przypominasz, że wystarczy Jego łaski, by słabości i pokusy, nie oddaliły od Boga, lecz coraz bardziej z Nim jednoczyły.

W niedzielę 9 lipca 1944 roku, po transporcie w wagonach bydłowych, s. Julia w obozie koncentracyjnym Stutthoff została zarejestrowana jako polski więzień polityczny nr 40992. Z innymi kobietami z kręgu inteligencji wileńskiej, przydzielono ją do bloku 27 w tzw. „Obozie Żydowskim”. Skierowano ją do baraków zarządzanych przez esesmana sadystę Fotha, w których panowały najcięższe w obozie warunki życia. Tam też miała dokonać się jej, trwająca siedem miesięcy, ofiara życia.

Bруд, robactwo, przepełnione baraki (kobiety spały po cztery na jednym legowisku trzypiętrowej pryczy), niskokaloryczne porcje żywnościowe podawane często prosto na ziemię, praca fizyczna ponad siły, ograniczony dostęp do wody, brak środków higienicznych, konieczność publicznego załatwiania potrzeb fizjologicznych, to tylko niektóre środki eksterminacji. Dla więźniarek dodatkową udręką było nieludzkie traktowanie przez więźniów funkcyjnych, najczęściej kryminalistów, którzy w czasie częstych selekcji wyznaczających do komór gazowych, brutalnością, egzekucjami i karą głodu, powiększali liczbę ofiar. Obok baraków leżały niezliczone ilości ciał, a unoszący się w powietrzu zaduch z krematorium i stosów całopalnych, wywoływał stałe uczucie mdłości. Niektóre z więźniarek, by przeżyć to ziemskie piekło, poszły na współpracę z esesmanami. Po wojnie ukrywały ten niechlubny okres życia i z wiadomych względów, nie chciały o obozie nikomu mówić. Fakt, że dwie z nich zgodziły się na rozmowę ze mną i potwierdziły heroiczną postawę Siostry w obozie oraz uczestniczyły w procesie – po prostu graniczy z cudem.

Julia w tych ekstremalnych warunkach okazała się prawdziwą siostrą miłosierdzia, niosącą innym nadzieję. Oddajmy głos świadkom tamtych dni:

*„Była szlachetna, chętna do pomocy i dobra. Pełniła dzieła miłosierdzia w obozie, gdzie zapomniano, że w ogóle istnieje miłosierdzie”... . „To był anioł dobroci. W warunkach upodlenia człowieka potrafiła skierować nas na inny wymiar życia”... . „Dla nas ona była świętą, ona oddała za innych życie”... . „Dzieliła się czym tylko mogła, nawet ostatnim kawałkiem chleba.*

Siłą ducha, wrażliwością serca i sprawiedliwością, ujętą w słowach dobroci, dzieliła się z innymi, a przykładem pokazywała, że nieludzkie traktowanie nie musi deformować sumienia i prowadzić do zatarcia wśród nich norm moralnych.

Julia wiedziała, że praktyki religijne w obozie były nie tylko surowo zakazane, ale również karane śmiercią, a mimo to organizowała i prowadziła wśród kobiet z różnych krajów modlitwę różańcową. Miała też świadomość, że wśród obecnych tam więźniarek, znajdowały się i te „donoszące” funkcyjnym. Siostra, życzliwie nastawiona do wszystkich, szła z pomocą nie kierując się narodowością czy religią. Dzień po dniu z ofiarną miłością dawała siebie, aby tam, gdzie we wszystkich wymiarach królowało zło, widzieli jej dobre czyny i chwali Ojca. Modliła się za oprawców oraz za ich ofiary, które często potrafiły już tylko żyć nienawiścią. Miłosierną miłość głosiła prawdą i autentycznością życia wszystkim, wszędzie i na wszelki sposób. W miejscu największej kumulacji zła Julia nie tylko celebrowała dobro, ale również uczyła zło dobrem zwyciężać.

*„Uderzający był spokój, który promieniował z jej twarzy. Odnosiłam wrażenie, że jest wewnętrznie skupiona”... . W jej pobliżu człowiek czuł potrzebę modlitwy”.* – tak po latach będą ją wspominać współwięźniarki. Nie zrywała się z klęczek, ani nie przerywała lęklonie modlitwy, gdy do baraku wpadały funkcyjne. To one zawstydzone wycofywały się, tracąc jakby pewność siebie.

W obozowych warunkach pokazała, że umie zjednywać ludzi, bez rezygnacji z własnej godności poprzez służalczość lub podlizywanie. Poświęceniem innym czasu i uwagi oraz zaangażowaniem udowodniła, że zawsze można zauważyć człowieka bardziej potrzebującego od siebie. W obliczu zmieniających się drastycznie sytuacji panowała nad sobą, pozostając sprawiedliwą i współczującą. Dla potrzebujących jej pomocy stała się matką zatroskaną i o duszę i o ciało.

Przywróciła wolę życia katowanemu więźniowi z oddalonych baraków męskich, które ten postanowił odebrać sobie życie. Głodową porcją chleba dzieliła się z innymi, pozostawiając w ich sercu na zawsze obraz anioła dobroci. W sercach pełnych rozpaczki budziła nadzieję i kierowała ich myśli ku Bogu.

W sobie tylko wiadomy sposób zorganizowała przyjęcie kapłana do żydowskiej części obozu i umożliwiła również innym, przyjęcie sakramentów świętych. Warunkiem przyjęcia do części żydowskiej, jaki postawił ten młody kapłan, było załatwienie dla niego zastrzyku przeciw tyfusowi. Cały sztab ludzi, życzliwych Siostrze, solidarnie uczestniczył w zorganizowaniu tego zastrzyku oraz w przygotowaniu „komando pracy”, z którym mógł ten ksiądz dotrzeć.

Ze stosu całopalnego wyciągnęła przedwojenną aktorkę Klementynę Zastrzeżyńską, tak wyniszczoną tyfusem, że uznano ją za martwą. Julia знаła jej wielkie pragnienie przeżycia obozu, by nie osierocić córki pozostawionej u obcych. Odwadze i opiece Siostry zawdzięczała życie i przeżycie obozu. Dla Julii nie było sytuacji bez wyjścia, nie było ludzi przekreślonych i nie było przeszkód, które by uniemożliwiały czynienie dobra.

Stęskniona codziennej Eucharystii łączyła się sercem z miejscami, gdzie sprawowana była Msza święta, by Jezusa przyjmować duchowo. Tej praktyki uczyła inne więźniarki.

Z własnej woli poszła do baraku 30 zwanego „umieralnią”, by służyć chorym na tyfus, którym z lęku przed zarażeniem nikt nie pomagał. Chore leżąc we własnych nieczystościach umierały w samotności i w beznadziei, zżerane przez wszy. Julia wiedziała, że wystarczy ugryzienie przez jedną wsze a sama stanie się ofiarą tyfusu. Decyzja, aby pójść do odizolowanych i skazanych na śmierć w tak niehumanitarnych warunkach, była akceptacją śmierci i potwierdzeniem jej heroicznej miłości bliźniego. Przynosiła umierającym **śnieg**, którym zwilżała usta trawione gorączką, bo celowo odcięto wodę, chcąc przyspieszyć ich śmierć. Wychodziła już zziębnięta z nieogrzanych baraków, z gołymi nogami w drewniakach, by wziąć śnieg w skostniałe z mrozu ręce. Nie mogła dać lekarstw, czystych ubrań czy nawet odrobiny jedzenia, bo tego nie miała. Ofiarowała swoją obecność, by chronić ich od rozpacz, a przez modlitwę wspierać śmiertelne zmagania na tej ziemi.

Do niektórych więźniarek powiedziała prorocze słowa, że nie mają tracić wiary, bo przeżyją obóz, ale ona **tu pozostanie na zawsze** i że wszystko to, co ją spotka, zawiera Bożej Opatrzności. Przerwany szept modlitwy różańcowej był znakiem, że dla s. Julii rozpoczęła się wieczność, a dla chorych, pozbawionych jej miłosiernych słów i gestów, nadszedł czas smutku i samotnej agonii.

Odeszła do Pana we wtorek 20 lutego 1945 roku. *„Nagie ciało S. Julii, położone na stosie innych, ktoś okrył kawałkiem obozowego materiału, co w tamtych warunkach na pewno było hołdem jeszcze większym niż dzisiaj warta honorowa”.*

Stała się w pełnym tego słowa znaczeniu ofiarą całopalną, gdyż na stosie całopalnym spłonęło jej ciało. Tak odeszła Siostra, która na niehumanitarniej ziemi pokazała, że miłującym Boga, wszystko pomaga ku dobremu. Bł. Julia, mimo cierpień, bolesnych strat i przeżyć, w ostatnich 19 miesiącach wręcz pasywnych, była zawsze zjednoczona z Bogiem. Nie boję się powiedzieć, że **była mistykiem**, który doświadcza Jego obecności, nie tylko na modlitwie i w czasie Eucharystii, ale również w każdym osobistym wydarzeniu. Tam, gdzie my widzimy przypadek lub zbieg okoliczności, ona widziała miłującą rękę Ojca.

Jej duchowe dziedzictwo jest nieustannie aktualne i atrakcyjne, dlatego że pozwoliła Chrystusowi „by ją wziął, połamał i rozdał ...”. Wpatrzona w nieskończoność, w gehennie stutthoffskiego piekła, staje się dla nas mistrzem modlitwy, wzywającym do naśladowania jej, bo tylko wtedy nic nas nie odłączy od Miłości Chrystusowej. Faktu zaniedbywania naszej modlitwy nie usprawiedliwia przepracowanie, przemęczenie czy nawet złe samopoczucie, bo gdyby tak było, to Julia byłaby automatycznie z niej zwolniona. Mamy być jak Ona wpatrzona w nieskończoność, by do Boskiego Lekarza zanosić rany i blizny swoje oraz innych. Zbliżający się do nas ludzie mają odczuwać potrzebę modlitwy.

Siostra uczy nas budzić w sercu potrzebę wdzięczności za wszystko, co nas spotyka, bo to dar Dobrego Boga. Uświadamia, że to od nas zależy, czy nasze życie będzie „mystyką” – miejscem doświadczania Boga czy jałową pustynią bez Niego. Julia pokazuje miłość do Kościoła i do zakonu. Nigdy nie kryła, że jest dominikanką, nawet w sytuacji zagrożenia życia. Z radością dzieliła się z innymi tradycją i duchowością zakonu. Nie mówiła nic krytycznego, bo miała zawsze na uwadze dobro słuchającego i jego osobisty rozwój. Złymi słowami nie rzucała kłoboku do ludzkich serc i nie zakwaszała nimi dobrego ciasta. Przypomniała prawdę, że gdy brakuje miłości w tym, co mówimy, podcinamy własne korzenie.

Uczyła właściwej wizji człowieka i świata. Mimo, że doświadczyła tyle zła, widziała świat i człowieka, jako dzieło Boga i miejsce Jego obecności, działania i zbawiania. Dostrzegała realnie grzech niszczący dar Stwórcy życia, ale podjęła z nim otwartą walkę, afirmując godność ludzkiego życia w stopniu heroicznym. Jej oczyma mamy patrzeć na „zarażonych chorobami XXI wieku”, by nie ulec cywilizacji śmierci, szerzonej przez manipulację mediów i zawirowane mody, które lansują prawo do życia młodym, zdrowym i pełnosprawnym. Chcąc ją naśladować musimy z miłością i troską być przy odrzucanych i oddawać im i za nich życie.

Męczennica Stutthoffu kierowała się Ewangelią, która jest propozycją życia dla każdej epoki i dla wszystkich czasów, by je czynić lepszymi. Uniwersalność i aktualność jej duchowości związana jest z wiernym wypełnianiem Woli Bożej w każdym miejscu, do którego została posłana. W jej życiu i męczeństwie odkrywamy wzór do odważnego kroczenia drogą wierności powołaniu.

Zakończę słowami papieża Benedykta XVI. *„Święty to nie ktoś, kto dokonuje bohaterских czynów w oparciu o swe ludzkie zalety, ale ten, kto z pokorą pozwala, by Chrystus wszedł do jego duszy i przez niego działał. Dać się prowadzić w ten sposób Chrystusowi możliwe jest tylko dla tego, kto prowadzi intensywne życie modlitwy”.*